

wiście miasto na to, że coś tam zarabiał przytem pośrednik. Przy licytacji utrzymywał się zwykle niejaki Naftal Front za cenę 53,712 rb. rocznie. Przeciętnie wywóz śmieci i śniegu za pośrednictwem Fronta kosztował Warszawę mniej więcej 65,000 rb. rocznie. Szkoda, że akta z tych czasów widocznie dla zasilenia funduszków miejskich sprzedano z licytacji, bo mogliśmy sprawdzić rachunki poszczególne. Teraz, niestety poprzestać musimy na danych ogólnych.

Magistrat, uważając widocznie, że p. Front za oczyszczanie miasta liczy sobie zbyt drogo, lub że spełnia to niedbale, postanowił prowadzić przedsiębiorstwo to „sposobem gospodarczym”. Oczywiście miało być lepiej i taniej. Na czele taboru stanął p. Paweł Prokopowicz. System „gospodarczy”, tak wszędzie zachwalany, wbrew właśnie przysłowiu, że „pańskie oko konia tuczy” wydał na gruncie warszawskim wyniki wprawdzie imponujące, ale nienazbyt pomyslnie. W rezultacie stwierdzamy, że to za co miasto płaciło pośrednikowi, przez szereg lat przeciętnie po **65,000 rb.** przy zastowaniu „sposobu gospodarczego”, wynosi obecnie **136,000 rb.**

Front, kiedy utrzymywał tabor, musiał dzierżawić stajnie i plac na wozy z sumy otrzymanej z magistratu, ponosił więc i ten duży wydatek.

Prokopowicz ma stajnie miejskie, domy miejskie i plac miejski. Ogromna różnica.

To jedna strona działalności p. Prokopowicza. Jest i druga.

Pod rozszerzenie ul. Kościelnej, pod przedłużenie ulicy Kamiennej na Pradze, pod przedłużenie ul. Starej pewną ilość domów zarząd miejski, przeznaczył do „natchmiastowej” rozbiórki. Wobec tego oczywiście przestały one istnieć... na papierze. Nie liczono na to, że latami całemi ludność nie będzie odczuwała potrzeby rozszerzenia pomienionych ulic, że całemi latami można będzie z nich czerpać dochód, więc też nie przewidziano tych dochodów w budżecie stołecznego miasta Warszawy. Słowem, na papierze domy znikły bez śladu. W rzeczywistości jednak, zapewniamy zarówno zwykłych śmiertelników, jako też i ojców miasta, że one istnieją i nie tylko istnieją, ale do pierwszego b. m. były zamieszkane.

Po obejrzeniu tych „żywych nieboszczyków”, skonstatowaliśmy, że na listach lokatorów figurują przeważnie woźnice i stróże taboru miejskiego, którego zarządzającym jest p. Paweł Prokopowicz, ten sam pan Prokopowicz, który jednocześnie administruje nieistniejącymi domami. Czy lokatorzy owi, ludzie biedni, znaleźli dach nad głową bezpłatnie? Nie wiemy. W owych jednak domach, rozebranych na papierze, istnieją sklepy, np. w domu N^o 16 przy ul. Śliwickiej sklep kolonialny p. Michała Kostrzewskiego, w domu przy ul. Kościelnej — sklep p. Janasza Osjasza, w domu przy ul. Mokotowskiej — Borucha Fabiana. Ludzie ci nie są niczem związani z zarządem miasta i, mieszkając w domach miejskich, powinni miastu płacić. Wszakże to nie są „ptakowie niebiescy”, którzy manną bożą żyją i manną płacą! Niel. Z protokołu komisarza, p. Kunickiego, dowiadujemy się, że jeden z takich lokatorów, niejaki Józef Tomaszewski, płacił miesięcznie 9 rb., a sklepikarz Osjasz, płacił miesięcznie 25 rb. i t. d. (Protokół z dnia 28 kwietnia 1903 r.) Więc płacili, a zapewne i teraz za darmo nie mieszkają. Ponieważ „nic w naturze nie ginie”, pozwolimy zapytać administratora owych „żywych nieboszczyków”, gdzie w ciągu lat kilku lokował komorne, które „sposobem gospodarczym” powinno były wpływać do kasy miejskiej. Tam śladu tych wpływów do ostatnich czasów nie było, jak wogóle niema śladu istnienia domów, administrowanych przez p. Prokopowicza „sposobem gospodarczym”.

Tu „Goniec” jest niecisły; ślady istnienia domów administrowanych przez p. Prokopowicza „sposobem gospodarczym” są.

Zarządzający taborom miejskim, p. Paweł Prokopowicz, dymisjonowany porucznik, człowiek niezasobny, otrzymuje skromną posadę w zarządzie miasta. W ciągu kilkunastu lat pracy, dzięki „gospodarczemu sposobowi” staje się właścicielem (do spółki z p. Glińskim, również urzędnikiem magistratu i właścicielem domu przy zbiegu ulic Bednarskiej i Dobrej) okazałej kamienicy w Mokotowie. Niezadowolony jednak, nabywa 3 stycznia 1908 r. od p. Witolda Kusza nieruchomości N^o 2687A, 2664 i 2665 przy zbiegu ul. Bednarskiej i Sowiej za cenę 50 tysięcy rubli. P. Prokopowicz za gorliwą służbę został przedstawiony do nagrody w ilości... 400 r.

Generał-gubernator sumę tę zmniejszył do 200 rubli, a ministerjum do zera.

Streściliśmy wypadek najaskrawszy, przytacza „Goniec” i inne: naprz. wypadek z woźnym, który sprzeniewierza pieniądze, fałszuje kwity, a mimo to zostaje na stanowisku; wypadek z administratorem domu miejskiego, który od 3 lat z domu przezeń administrowanego nie wypłaca komornego i t. d. i t. d.

Faktem niesłychanym jest, że sensacyjne rewelacje „Gońca” są bojkotowane przez inne gazety, (tak przecież żadne sensacji i skandalu). Zawieść konkurencyjną sprawia, że o sprawach tak dla miasta ważnych, jak orgie magistratu wielu z ludzi którzy z tych lub owych powodów „Gońca” nie czytują, — wcale się nie dowie.

Jest to jeszcze jeden dowód więcej, jak prasa warszawska pojmuje swe obowiązki względem społeczeństwa.

W.

SZKOŁA DLA DZIECI MAŁO ZDOLNYCH.

Kto miał do czynienia z większą liczbą dzieci w szkołach, nieraz zrobił spostrzeżenie, że są między niemi osobniki, które pomimo wysiłków z ich strony, pomimo szczególnych udzielanych im pomocy przez p. korepetytorów, nie mogą podążać w nauce za innemi. Dzieci takie są powodem troski dla rodziców, same są nieszczęśliwe. Czasami przyczyną stanu tego jest zaniedbana nauka wcześniejsza, w tym razie dziecko dość prędko dogania równieśników. Ale często źródło złego tkwi głębiej: dziecko jest opóźnione w rozwoju, albo z natury umysłowo słabe.

Nie znaczy to, aby dzieci takie nie mogły być kształcone, ale nie mogą być kształcone według ogólnego programu, zwykłemi metodami i w tempie zastosowanym do przeciętnych umysłów. W najlepszym razie dzieci takie poddaje się badaniu lekarskiemu, każe się je leczyć. W pewnych wypadkach może to być celowe, ale o ile idzie o umysłowy rozwój jest niedostateczne. Lekarze w ocenie umysłu i sposobów jego kształcenia są przeważnie ignorantami. Dzieci takie poza szczególnymi wyjątkowymi wypadkami, potrzebują nie leczenia, lecz specjalnego kształcenia, które dać im może tylko odpowiednio uzdolniony pedagog, umiejący do nich przystosować całe postępowanie. Ponieważ dzieci takie stanowią dość znaczny odsetek ogółu, istnieć dla nich muszą specjalne szkoły lub oddzielne klasy przy szkołach ogólnych.

Potrzeba ta powszechnie uznaną została w krajach zachodnich, w Niemczech, Francji, Szwajcarii istnieją od lat kilkunastu t. zw. szkoły pomocnicze, oraz klasy pomocnicze, do których kierowane są dzieci mało zdolne lub opóźnione w rozwoju (ale bynajmniej nie idjoci i nie chore dzieci). Szkoły te są stale zapełnione; uczuwa się nawet brak dostatecznej ich ilości.

Są one utrzymywane przez państwo lub gminy, jakkolwiek jest wiele i prywatnych.

U nas pierwsza szkoła taka powstała przed kilku miesiącami w Warszawie z inicjatywy i pod kierunkiem

pani Lublinerowej i Zylberowej, które do prowadzenia zakładu tego rodzaju przygotowały się przez studia specjalne. I cóż? Szkoła dotąd nie pokrywa kosztów, nie licząc nawet własnej pracy kierowniczek. Ma wszystkiego 8, wyraźnie osiem wychowawców dziewcząt i chłopców. Czemże się to dzieje? czy społeczeństwo nasze wyjątkiem jest spośród wszystkich i ma tylko same dzieci normalne, czy nie ma u nas wcale dzieci, któreby podchodziły pod kategorię mało zdolnych, opóźnionych i wymagających odrębnego kształcenia.

Przypuścić coś podobnego byłoby absurdem. Jak w innych krajach tak i u nas nie brak dzieci niezdolnych i zacofanych, ale widocznie znacznie więcej niż gdzie indziej jest u nas rodziców i przełożonych zacofanych i niezdolnych — pojąć tego, co gdzieindziej dawno stało się przekonaniem ogółu.

W szczególności jest tu wina przełożonych i kierowników szkół. Jest rzeczą pewną, że w liczbie uczniów i uczennic, jakie mają w swoich zakładach, jest pewien procent dzieci, bezwzględnie kwalifikujących się do specjalnego zakładu dla mało zdolnych. Taki zakład istnieje i — niema prawie wcale uczniów. Wniosek stąd jeden tylko. Kierownicy szkół albo niemają wcale pojęcia o zadaniach i warunkach kształcenia młodzieży, albo mają na względzie tylko interes własnej kieszeni. Jedno czy drugie — ofiarą tego są — bez przesady rzecz można — setki dzieci, które wtłoczone w nieodpowiednie dla nich warunki, męczą się, demoralizują i do reszty marnują.

Dla ocalenia tych dzieci powinna się nie tylko utrzymać szkoła już istniejąca, ale należałoby założyć kilka jeszcze szkół podobnych, przede wszystkim dla dzieci rodziców niezamożnych.

J. S. D

LEONIDAS ANDREJEW, W OSTATNICH SWYCH UTWORACH

(Dokończenie.)

IV.

„Przekleństwo zwierza“, jak wszystkie prawie utwory Andrejewa posiadają dwie strony. Tezy jego odziane w iście artystyczne szaty, mogą być uznane do pewnego jeno stopnia, po za nim stają się fałszywe i kłamliwe. „Przekleństwo zwierza“ skierowane jest przeciwko społecznej kulturze miejskiej. Andrejew znalazł potężne przekleństwa. Lecz niestety, on — silny burzyciel indywidualizmu — a przytem sam indywidualista — stara się w utworze tym potępić kulturę za jej zbiorowość i społeczność. Kreśli nam Andrejew piękne i silne obrazy, cały bowiem utwór jest szeregiem epizodów ze spaceru chorobliwie przeczulonego i subtelnego człowieka po wielkiem mieście stołecznem. Oto roztacza przed nami Andrejew wspaniałą wprost obraz ogrodu zoologicznego. W ciasnej klatce siedzi uwięzionych dziesięciu do dwunastu królów i królowych — orłów i orlic. Ciasno im. Klatka ich tłoczy i dusi. Nawet skrzydeł rczwinąć nie sposób. I to mają być najwolniejsze i najsilniejsze ptaki świata! To mają być — orły! Pióra zszarpane i brudne, złowrogie ich oblicza — z zagietymi dziobami i dzikimi oczyma wyrażają obecnie jeno małostkową złość, rozdrażnienie i bezmyślną zawiść. Czasem jednak któryś z nich zapomina, gdzie się znajduje, w piersi jego budzi się tęsknota do swobody, do przestrzeni bezmiernej i lotu podniebnego. Zrywa się, Rozpaczliwie miotą się w więzieniu okrutnem. Kalczy i szarpie skrzydła. I wówczas w klatce rozlega się krzyk, hałas, wrzawa. Bo większość więźniów zrodzona jest w klatce. Bo większość nie pojmuje onego

pragnienia lotu. Zda się, że wyzwiska najpotworniejsze miotają, że przeklinają, złorzeczą: Lecz gniew swój Andrejew zwraca nie w odpowiednim kierunku. Bo wszak zrozumiałem jest, że celem jego nie jest jeno oburzenie na potworny gwałt kulturalnych profesorów, którzy uwięzili orły. Należy sięgnąć głębiej. To jest symbol. Czyż nie w podobny zupełnie sposób ciasnota, marność, nielogiczność i nędza kultury burżuazyjnej zgarbia i stłacza naturę ludzką, w istocie swej — dumną, wolną i silną. Andrejew idzie jeszcze dalej: to dlatego „obrażeni ludzie konają w ciasnocie, bezładzie i bezrozumie życia“, że żyją razem; w samotności jeno można rozwinąć odpowiednio skrzydła, osiągnąć swego prawdziwego rozwoju.

Wielcy gienjusze wyrastali w gromadnem życiu, wyrastali w miastach. Życie jest bezrozumne nie dlatego, iż jest ono społecznem, lecz dlatego, iż jest źle zorganizowane. Człowiek pozostał po dziś dzień takim, jakim był za czasów Arystotelesa — zwierzęciem społecznem. Orły ludzkości szeroko rozwijały skrzydła swe w Atenach, Rzymie i Paryżu i nie zawsze było im tam ciasno, w pustyni zaś napewno by tęskniły. Lecz życie jest źle zorganizowane. Miasto, które potępia Andrejew, jest brudne, wstrętne i występne, tak, ale w niem są również moce cudowne i obietnice przyszłości jasnej, które dziś jeszcze drzemają, lecz kiedyś się zbudzą i dzieła swego dokonają. Tego Andrejew nie pojmuje, tego Andrejew widzieć nie chce, bo to zachwiać może głoszoną przezeń prawdę: „ludzie są niepoprawni, wytepić ich trzeba“.

Sam opis miasta kręci się u Andrejewa dokoła pokazywanej sybaryckiej zamożności mieszczanina, podobieństwa indywiduów, panowania głupiej psychologii tłumu. Miejscami bywa to dowcipne, ironiczne i gryzące, miejscami fejletonowe. Mówi się też o kamiennym zwale, o zmorze stłoczonych gmachów, stojących, niby przegrody, między człowiekiem, a naturą. I to jednak wystarcza Andrejewowi do umotywowania głównej sceny przekleństwa zwierza, w której jest kulminacyjna potęga i która jest napisana przepięknie. Zamknięty w klatce stary, chory, konający zwierz przeklina. Niczem jest wobec przekleństwa jego „zacny gniew Hjoba“, niczem „gniew wymówki Kaina“, niczem — „przekleństwa proroków, które rzucali oni na głowy bluźnierczych miast i bluźnierczych ludów“ niczem — to wszystko wobec „tego zwykłego, jak głos splugawionej ziemi, przekleństwa konającego zwierza“.

On nie czekał odpowiedzi, samotny, konający, nie pragnął, by go ktoś zrozumiał — on przeklinał w wieczność i przestrzeń, rzucał głos swój w ich potworną, szaloną pustkę. I zdało się, że przekleństwo jego budzi martwe olbrzymie ciała minionych wieków, i wychodzą one z grobów i idą uroczyscie w mgłę krwawej. Zwierz przeklinał miasto i ludzi. Przeklinał niebo i ziemię. U Andrejewa się to wszystko miesza i stłacza. Lecz, czy rzeczywiście jest za co przeklinać ziemię i niebo? Czy rzeczywiście warto po zwierzu powtarzać owo przekleństwo?

Gdzie istnieje ból — tam być musi i dysharmonja. Ból pcha ku zdobyciu, ku budowie harmonji. Konający, wijący się w agonji przedśmiertnej zwierz nie pojmuje tego. Lecz każdy straszny jęk zwierza, każdy szloch umierającego, szarpanego organizmu — jest pobudką, spadkiem, stymulacją dla pozostających przy życiu organizmów.

Przypuszczam, że apostoł Paweł nie mało nasłuchiwał się krzyków zwierzęcego bólu, nim napisał swe piękne strofy: „Albowiem, (bracia!) mam za to, iż utrapienia teraźniejszego czasu nie są godne onej przyszłej chwały, która się ma objawić w nas. Bo troskliwe wyglądanie człowieka oczekuje objawienia synów Bożych. Gdyż stworzenie marności jest poddane nie dobrowolnie, ale dla tego, który je poddał. Pod nadzieją, że i samo stworzenie będzie uwolnione z niewoli skażenia na wol-